

W chwili, gdy ukaże się niniejszy artykuł, będzie już osiem lat od dnia ogłoszenia "stanu wojennego" w Polsce. Wiele zmieniło się od tych pamiętnych dni zapoczątkowanych 13 grudnia 1981 roku.

Niektórzy dzień ten będą święcić jako klęskę "stanu wojennego" i triumf Solidarności. Jeszcze inni trwać będą w apatii zrodzonej tego właśnie dnia. A będą i tacy, jak niżej podpisany, którzy będą uważać, że **złe się stało**, iż nad sprawą przeszło się tak jakoś łatwo do porządku dziennego.

"Stan wojenny", nie mówiąc już o mojej własnej reakcji w tej sprawie, jest w rzeczywistości **wielką przegraną Solidarności** i zwycięstwem władzy, a raczej Kremla. Przegraną o tyle boleśniejszą, że **pokonani nie zdają sobie z tego sprawy**. Nie tylko zresztą oni. Parlament najpotężniejszego kraju świata i największej demokracji wiwatuje na cześć zwycięzcy, który nie był w stanie stawić **żadnego** oporu. Blietzkrieg gen. Jaruzelskiego przeciwko Solidarności był z punktu widzenia strategiczno-operacyjnego i taktycznego niewątpliwym triumfem specyficznej sztuki wojennej. Tym większym, że pokonani uważają się za zwycięzców, a prawdziwi zwycięzcy wmawiają wszystkim, że istotnie przegrali, ale już teraz zmienili się i z dawnymi swoimi wrogami nawet współrządzą krajem!

W związku z tym nikt już nie zastanawia się ani nad genezą "stanu wojennego", ani nad jego skutkami. Przypomina się tu jak żywo obyczaj wiejski, gdzie w czasie wesela leje się krew i nawet trup pada, ale potem cicho, sza! Ot, "nie ma sprawy panie Lechu, buźka panie Wojciechu!"

"Stan wojenny" był więc i nie był i

TO JUŻ OSIEM LAT...

ZDZISŁAW M. RURARZ

prawda nieco ofiar, ale było to niczym w stosunku do tego, co by mogło być...

I ta bzdurna wersja wydarzenia zakorzeniła się na dobre nie tylko w umysłach ludzi nie mających wiele bezpośredniego z wydarzeniem, ale także dawnych ofiar "stanu wojennego". Ostatecznie to **członkowie Zgromadzenia Narodowego z Solidarności wybrali generała na prezydenta** "demokratyzującej się" Polski! Co gorsza, Lech Wałęsa gotów był wybierać na prezydenta także gen. Kiszczaka, głównego policjanta PRL (choć nie rozumiem dlaczego był on jednocześnie "nie wybieralny" na premiera, stanowisko o wiele mniej ważne? Czyżby więc jakieś tajne ustalenia z Magdaleny?).

W ten sposób największa "biała plama" w historii Polski pozostaje **nie wyjaśniona**. Tych plam jest zresztą o wiele więcej. Pomijając już wydarzenia bardziej oddalone w czasie, **prawdziwe tło** wypadków poznańskich z czerwca 1956, czy tzw. październikowych, marca 1968, grudnia 1970 r., czerwca 1976 r., czy wreszcie lipca-sierpnia 1980 r. i potem, **nie jest znane, albo wręcz jest błędnie znane**.

Stąd też wszelkie "przemiany" następujące po takich wydarzeniach szły nie tylko kretymi drogami, ale dziwnie wracały do punktu wyjścia. Jak to złośliwie mawiano — "wracało nowe"...

Prawda, zawsze to "nowe" nie było identyczne ze starym, ale przecież

dalszych przemian, które krajowi były potrzebne. Partia nie była już zdolna do samoobrony, a ponadto nie cieszyła się zaufaniem większości narodu. Przemiany musiały przyjść z zewnątrz, choć długo nie wiedziałem skąd? W pewnym czasie, po wyborze Polaka na papieża, myślałem o Kościele jako zaczynie przemian i częściowo okazało się to słuszne.

Gdyby nie papieska pielgrzymka w Polsce w czerwcu 1979 r., to należy wątpić czy Solidarność powstałaby w ogóle.

Mniej znanym faktem, który sprzyjał powstaniu Solidarności, były wewnętrzne rozgrywki w kierownictwie PZPR, podsycane przez Kreml, który już Gierka miał dość. Kreml niezbyt przychylnie patrzył na początkowe sukcesy "ery Gierka" i rosnące otwarcie PRL na Zachód. Co prawda w latach 1979-80 nie tylko nie było sukcesów, ale był już otwarty kryzys, to jednak Polski się bano. W myśl zasady makiawelizmu, której hołdował Stalin i jego następcy, sojusznik, nawet satelicki, nie powinien być zbyt silny i pewny siebie. Polską trzeba było "zamieszać" i zamieszano. Stąd Lech Wałęsa mógł skakać przez płoty, a potem podpisywać porozumienia z Jagielskim (które tydzień wcześniej uznano za nie do przyjęcia i z grubsza zdecydowano się na "stan wojenny"). Inaczej ustrzelono by go na murze, lub przedtem czy potem...

chorobą narodową, z której nie będzie ratunku.

O przygotowywanym "stanie wojennym" coś niecoś wiedziałem, ale pewnych informacji w tej sprawie nie miałem i nie miał ich nikt poza małym gronem wtajemniczonych, do którego należała "wielka trójka", tj. generałowie Jaruzelski, Siwicki i Kiszczak. Wiedziałem natomiast z całą pewnością, że "stanu wojennego" nie tylko nie poprę, ale się jemu sprzeciwię. Zwłaszcza jeśli poleje się krew, co stało się przed kopalnią "Wujek". Ilość ofiar, nie tak znów wielka, miała tu znaczenie drugorzędne. Nawet jedna ofiara była o jedną ofiarę za dużo.

Osobiście przerażało mnie co innego. Wiedziałem doskonale w jak głębokim kryzysie ekonomicznym był kraj. Wiedziałem też, że bez dużej pomocy gospodarczej Zachodu, bo ZSRR nie wchodził praktycznie w rachubę, Polska z kryzysu się nie wydzwignie.

Przeciąganie okresu legalnego działania Solidarności było pewną gwarancją na uzyskiwanie pomocy z Zachodu, choćby w postaci przesuwania lawinowo narastającej obsługi zadłużenia zagranicznego. "Stan wojenny", co było dla mnie jasne, nie tylko zniweczy szanse na ekonomiczną pomoc Zachodu, ale w ogóle pogorszy nasze z nim stosunki, co później się potwierdziło w tzw. sankcjach gospodarczych.

Brałem też pod uwagę i inne strony zagadnienia. Tak np. oburzał mnie cynizm władz. Wiedziały one doskonale, że w owym czasie eksperymenty typu Solidarność nie mogły być przez Kreml tolerowane. Był to bowiem okres dość specyficzny. ZSRR, który już od lat był supermocarstwem militarnym,

W związku z tym nikt już nie zastanawia się ani nad genezą "stanu wojennego", ani nad jego skutkami. Przypomina się tu jak żywo obyczaj wiejski, gdzie w czasie wesela leje się krew i nawet trup pada, ale potem cicho, szal Ot, "nie ma sprawy panie Lechu, buźka panie Wojciechu!"

"Stan wojenny" był więc i nie był i tylko parę osób potraktowało go poważnie, a m.in. wielce zacny Ryszard Reiff, który miał odwagę na posiedzeniu Rady Państwa w noc na 13 grudnia 1981 r. jako jedyny członek tego gremium, sprzeciwić się czemuś podobnemu. Sprzeciwiłem się i ja, za co spotkał mnie zaoczny wyrok śmierci, do dziś w mocy, choć rządy sprawuje niby Solidarność. Sprzeciwili się górnicy z "Wujka" i jeszcze wielu innych, którzy od lat spoczywają w ziemi.

A inni? No, wielu siedziało krócej lub dłużej, ale jakoś o tym zapomniało, albo nawet uległo dziwnemu "nawiedzeniu" i trudno teraz odróżnić ofiary od prześladowców.

Główny architekt "stanu wojennego", unikalnego wydarzenia w całej historii polskiej, kreuje się nawet na bohatera! Ani słowa samokrytyki! Ba, nie ma też krytyki! Gen. Jaruzelski uparcie twierdzi, że decyzję o "stanie wojennym" podjął absolutnie sam, o ZSRR nawet nie myślał, a sam "stan" uratował Polskę od anarchii. "Dojrzelismy bowiem wszyscy dzięki niemu", jak mawia tu i ówdzie.

Rzecz jasna, jest to wierutne kłamstwo, bo Kreml miał tu najwięcej do powiedzenia w sprawie, choć akurat zgodność poglądów między nim a gen. Jaruzelskim była całkowita.

W każdym razie, świat i chyba Polska są przekonane, że gen. Jaruzelski ubiegł sowiecką interwencję zbrojną wprowadzając "stan wojenny". Było co

czy wreszcie lipca-sierpnia 1980 r. i potem, **nie jest znane, albo wręcz jest błędnie znane.**

Stąd też wszelkie "przemiany" następujące po takich wydarzeniach szły nie tylko krętymi drogami, ale dziwnie wracały do punktu wyjścia. Jak to złośliwie mawiano — "wraca to nowe"...

Prawda, zawsze to "nowe" nie było identyczne ze starym, ale przecież nowym też nie było. Obawiam się, że teraz będzie **jeszcze gorzej**, bo nie tylko powszechna konfuzja nie uchroni ludzi od kolejnego ciosu, ale przyczyni się także do powszechnej rezygnacji, gdyż wszelkie formy oporu nie tylko zawodzą, ale wręcz wyrodnieją.

Powróćmy jednak do "stanu wojennego".

Jego ogłoszenie postawiło mnie w obliczu dylematu życiowego. Na samym początku chcę powiedzieć, że entuzjastą Solidarności nie byłem, ale doceniałem jej historyczną rolę jako **zaczynu**

nieki, nie powinien być zbyt silny i pewny siebie. Polską trzeba było "zamieszać" i zamieszano. Stąd Lech Wałęsa mógł skakać przez płoty, a potem podpisywać porozumienia z Jagielskim (które tydzień wcześniej uznano za nie do przyjęcia i z grubsza zdecydowano się na "stan wojenny"). Inaczej ustrzelono by go na murze, lub przedtem czy potem...

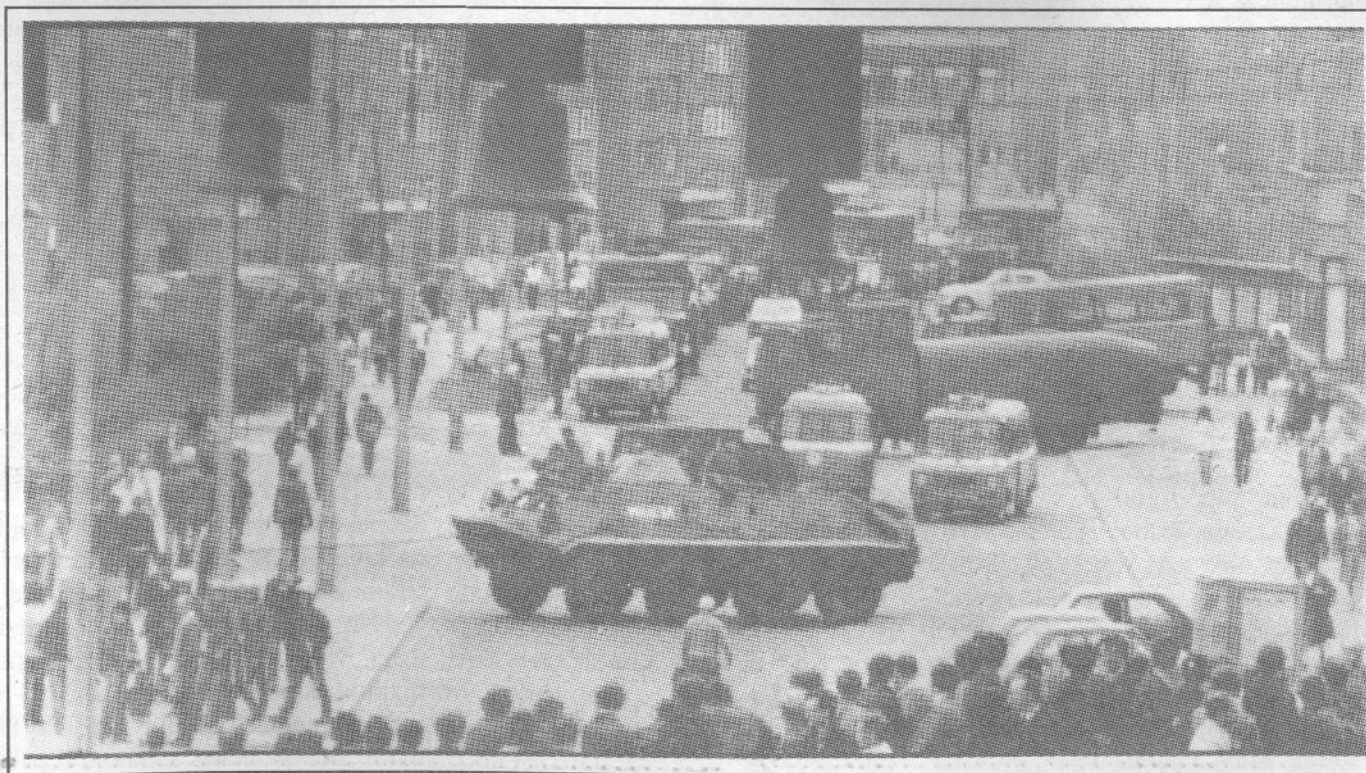
Nie wszystkie żądania Solidarności przemawiały do mnie rozsądkiem. Żądania podwyżek płac i innych świadczeń, wolnych sobót czy rozwiązania problemu mieszkaniowego w ciągu pięciu lat, były zwyczajnie pozbawione ekonomicznych podstaw.

Skoro jednak, rozumowałem, władze z podjudzenia Kremla poszły na wielką grę, grę nieszczerą od samego początku, to trzeba jej ową grę **skomplikować**. Najwyższy czas, żeby grała w otwarte karty. Inaczej jej własna demoralizacja stanie się powszechną

potwierdziło w tzw. sankcjach gospodarczych.

Brałem też pod uwagę i inne strony zagadnienia. Tak np. oburzał mnie cynizm władz. Wiedziały one doskonale, że w owym czasie eksperymenty typu Solidarność nie mogły być przez Kreml tolerowane. Był to bowiem okres dość specyficzny. ZSRR, który już od lat był supermocarstwem militarnym, prowadził energiczne przygotowania do bardziej generalnej rozprawy z Zachodem. Gwałtownie rozmieszczał rakiety SS-20 paralizujące całą Europę i część Dalekiego Wschodu. Prowadził też aktywne szkolenie wojsk do akcji ofensywnej. Kilka miesięcy wcześniej wojska jego wtargnęły do Afganistanu, a Nikaragua została dodana do "systemu socjalistycznego". Płynąca pod prąd Polska nie miała tu **żadnych szans**.

O tym wszystkim wiedziało doskonale kierownictwo PZPR, a zwłaszcza MON i MSW, które bardzo łatwo mogły



zdusić w zarodku rozwijający się ruch strajkowy. Skoro jednak tego nie uczyniły, a poszły na oszukańczą grę z Narodem, to w moich oczach straciły wszystko! Nie zasługiwały już ani na żadne warunkowe poparcie, ani tym bardziej nie chciałem się z taką władzą identyfikować w momencie zadania przez nią ciosu zniecka. W wojnie państwa PRL przeciwko narodowi polskiemu mogłem wziąć udział **tylko po stronie narodu**. Myśląc o narodzie, nie ograniczałem się tylko do Solidarności, której członkiem była moja własna żona, a jeszcze mniej do kierownictwa Solidarności.

A propos, w maju 1981 r. miałem możliwość poznania niemal całego przywództwa Solidarności. Wraz z Lechem Wałęsą przylecieli do Tokio Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Jan Rulewski, Tadeusz Mazowiecki i jeszcze parę innych osobistości tej organizacji. Wbrew instrukcjom z delegacją się spotkałem, a nawet urządziłem na jej cześć przyjęcie w ambasadzie, za co skrytykowała mnie telewizja sowiecka.

Z Lechem Wałęsą widziałem się trzy razy. Zrobił na mnie sympatyczne wrażenie, ale muszę powiedzieć, za Kościuszkę ani Piłsudskiego go nie uważałem. Był dla mnie jakby mieszaniną Bartosza Głowackiego i Jana Kilińskiego, choć i to jest nieściste. Tamci bowiem bili się do krwi, Wałęsa zaś był "pokojowym rewolucjonistą", ot, takim novum w naszej historii. Niemniej jednak, jako zapłon do przemian był dobry. Czy był dobrym przywódcą Solidarności, nie mówiąc już o mężu stanu, co mu się najbardziej podoba — na to pytanie odpowie dopiero historia.

Zresztą wyrażając swój protest

naród, wojsko stało po stronie państwa, które nie będąc państwem w pełni suwerennym symbolizuje **dominację obcą**, a wojsko polskie stało się tym samym instrumentem ucisku obcego.

Prawda, gdyby doszło do interwencji sowieckiej, to może byłoby trochę więcej ofiar niż było. A może nawet nie? W Czechosłowacji nie było ich niemal w ogóle.

W każdym razie, całe odium interwencji spadłoby na ZSRR. Władze PRL, także w przypadku ich neutralności, zaskarbiłyby sobie podziw i wdzięczność narodu i świata.

Stało się jednak odwrotnie. Cała furia potępienia spadła na Polskę jako taką. Na Zachodzie, aczkolwiek odetchnięto z ulgą, że to nie czołgi sowieckie patrolują ulice miast, to jednakże wydziwianie na Polskę, bo środki masowego przekazu unikały słowa "komuniści", a szermowały słowem "Polacy", stało się powszechne. Na ZSRR próbowano coś tam narzekać, ale raczej rachitycznie, bo konkretnych dowodów interwencji nie było. W rezultacie tego, Polsce dostało się ile wlezie, a ZSRR niemal nic... A szkoda, bo jemu się to należało. Niestety, gen. Jaruzelski wolał poświęcić interesy narodu niż ZSRR. Nic dziwnego więc, że Kreml tak go hołubi. Już wszyscy przywódcy "wspólnoty socjalistycznej", poza rumuńskim kacykiem, zostali zmienieni, a tylko gen. Jaruzelski trwa na stanowisku. Ba, może na nim trwać jeszcze prawie siedem lat, albo i dłużej. Także dzięki głosom Solidarności w Zgromadzeniu Narodowym...

Decyzje swojego zerwania z "władzą ludową" nie tłumaczą już nawet oczywistymi względami natury etycznej

OBWIESZCZENIE

Działając na podstawie art. 13 ust. 1 oraz art. 11 ust. 1 i 2 Dekretu z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym ~~przypominając mieszkańcom miast Warszawy i województwa, że zabronione jest zwoływanie i odbywanie wszelkiego rodzaju zgromadzeń, manifestacji.~~

Udział w wiecach, zgromadzeniach i manifestacjach studenckich ~~podlegają~~ ~~klócenie~~ porządku publicznego.

Słownie do Dekretu z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym

Kto organizuje albo kieruje strajkiem lub akcją protestacyjną, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5" (art. 46. ust. 2).

opałki. I tak np., apeluje on do kapitału prywatnego, aby inwestował w Polsce. Ale jednocześnie mówi, że nowa Polska to nie będzie ani socjalizm, ani kapitalizm, tylko "coś trzeciego". A co mia nowicie? Przecież kapitał prywatny nie zajmuje się działalnością charytatywną, a szuka zysków. Chce więc wiedzieć coś **konkretnego** o terenie swych przyszłych operacji. Tego nie może się dowiedzieć. Wałęsę oburza też pokazywanie biedy polskiej, kuchni z zupą... Właśnie o tej biedzie trzeba mówić! Ludzie głodują! Polsce teraz potrzebna jest bardziej pomoc typu YMCA czy UNRRA niż kapitał prywatny!

Zresztą, kto zdecydował w Polsce wyprzedawanie majątku narodowego obcemu kapitałowi prywatnemu? Takich ustaw nie ma! Sprzeciwia się

niespodzianek. Nigdy nie zapomnę jak na kilka dni przed ogłoszeniem "stanu wojennego" rozmawiałem w Tokio z prof. Januszem Bielskiem, jednym z doradców Lecha Wałęsy. Przebaknąłem, że może być "stan wojenny". Wyśmiał mnie. "Czapkami ich zarzucimy!" — wykrzykiwał. Byłem innego zdania, i szkoda, że miałem rację...

Jak wspominałem, Solidarność, obrośniętą w mity, wmanewrowano w rządu. Początkowo nie chciała tego wcale, ale raptem wzięła więcej niż kiedykolwiek myślała. Mity zaś polegały na tym, że będąc u steru władzy dostanie z Zachodu miliardy dolarów, a sprawami wewnętrznymi pokieruje tak jakoś inaczej... No, **miliardów nie będzie**. A co do rozwiązań wewnętrznych, to są one dalekie od

Tamci bowiem bili się do krwi, Wałęsa zaś był "pokojowym rewolucjonistą", ot, takim novum w naszej historii. Niemniej jednak, jako zapłon do przemian był dobry. Czy był dobrym przywódcą Solidarności, nie mówiąc już o mężu stanu, co mu się najbardziej podoba — na to pytanie odpowie dopiero historia.

Zresztą wyrażając swój protest przeciwko "stanowi wojennemu", bynajmniej nie zamierzałem wstępować do Solidarności, ani nawet całkowicie identyfikować się z jej linią, dość dla mnie zagmatwaną. Jak już powiedziałem, największe pretensje miałem do "władzy ludowej". Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że "stan wojenny", bez względu na ilość ofiar, stanie się wstrząsem w życiu narodu, którego skutki mogą na trwałe wejść do jego mentalności.

Co więcej, w interwencję sowiecką nie wierzyłem, a w każdym razie nie w momencie szeptanym na wszelkie sposoby. Wierzyłem natomiast w ruchy pozorujące interwencję, bo Kreml się do niej nie spieszył i rewelacje płk. Kuklińskiego nie są dla mnie przekonujące. Nie jest wykluczone, że Kreml celowo rozsiewał dezinformacje dla odwrócenia uwagi od przygotowywanego w Polsce "stanu wojennego". Zresztą USA już od kwietnia 1981 r. wstrzymały satelitarną obserwację granicy sowiecko-polskiej, zakładając widocznie nierealność interwencji.

Co więcej, sowiecka interwencja zbrojna nie byłaby najgorszym rozwiązaniem. W moim pojęciu byłaby lepszym niż "stan wojenny". Wojsko nasze, które interwencji mogło się spontanicznie opierać lub nie, bo zorganizowanego oporu dowództwo naczelne nigdy by nie przedsięwzięło, nie uległoby zhańbieniu. A tak padła nań hańba. W tej dziwnej wojnie państwo-

rumuńskim kacykiem, zostali zmienieni, a tylko gen. Jaruzelski trwa na stanowisku. Ba, może na nim trwać jeszcze prawie siedem lat, albo i dłużej. Także dzięki głosom Solidarności w Zgromadzeniu Narodowym...

Decyzję swojego zerwania z "władzą ludową" nie tłumaczę już nawet oczywistymi względami natury etycznej czy prawnej, bo sam "stan wojenny" jak też sposób jego uchwalenia i ogłoszenia, były naigrywaniem się z istniejących aktów i norm prawnych.

Smutne tylko, że przemilczanie tej sprawy, a "stan wojenny" jest zbrodnią przeciwko narodowi i jako **zbrodnia tego rodzaju nie podlega przedawnieniu**, stwarza wysoce niebezpieczną sytuację. Nie jest bowiem wykluczone, że **sprawa może się powtórzyć**, zwłaszcza gdy głową państwa jest człowiek, który już raz dokonał czynu przestępczego.

Smutne jest jeszcze i co innego. Tragizm całego wydarzenia, unikalnego w naszej historii, zamienił się w farsę! Aczkolwiek Kongres USA, na stojąco wiwatuje Lecha Wałęsę, kreując go niemal na bohatera wszech czasów, to w rzeczywistości jest to nowy rodzaj "Polish joke"... Zapomina się przy tej okazji, że to różne ukryte siły postanowiły otrześć Wałęsę z kurzu, wywindować go na bliżej niejasny piedestał i użyć do ogłupiania i rozbrajania Zachodu.

W ferworze frenetycznych okłasków zapomina się, że wita się nie zwycięzcę "stanu wojennego", a jego ofiarę! To "stan wojenny", chodząc swoimi przedziwnymi ścieżkami, uczynił z Wałęsy, przy pomocy Zachodu zresztą, człowieka bogatego. Doszło nawet do tego, że Wałęsa otrzymuje pogróżki śmierci, co spowodowało danie mu ochrony z MSW! A w międzyczasie opowiada kosałki-

zupa... Właśnie o tej biedzie trzeba mówić! Ludzie głodują! Polsce teraz potrzebna jest bardziej pomoc typu YMCA czy UNRRA niż kapitał prywatny!

Zresztą, kto zdecydował w Polsce wyprzedawanie majątku narodowego obcemu kapitałowi prywatnemu? Takich ustaw nie ma! Sprzeciwia się czemuś podobnemu nawet część Solidarności, nie mówiąc o PZPR czy OPZZ, organizacji ponad dwukrotnie liczniejszej od Solidarności.

Oklaski, ordery i dyplomy nie zastąpią wielkiej pomocy, o którą niemal bezskutecznie zabiega Wałęsa. Sumy, które w końcu się przyznaje, a tylko **na połowę ich można liczyć** jako tako, choć i te będą poważnie zjedzone przez koszty transportowania flagą amerykańską, są śmieszne w porównaniu do wcześniejszych próśb Wałęsy. Icał Szamir, którego nie wiwatowano w Kongresie, uzyskuje pomoc na głowę swojego obywatela ponad 300 razy większą niż współrodak Wałęsy...

Tak czy inaczej, w osiem lat po "stanie wojennym", kraj nadal toczy się po równi pochyłej. Tym razem także przy udziale skrzydła Solidarności, które wmanewrowano w rządy. Skrzydło to **przestało być opozycją, a nie stało się władzą**. Nowy "stan wojenny", rzecz ciągle wysoce prawdopodobna, nie tylko zdmuchnie Solidarność z rządowego i parlamentarnego świecznika, ale tym razem odbędzie się to bez żalu i protestu. Niektórzy z Solidarności, którym zasmakowała władza, może nawet pójdą na kolaborację z nową władzą (jeśli takimi kolaborantami nie byli dawniej).

No cóż, nikt nie wie, co będzie dalej. Wygląda niby na to, że komunizm i imperializm sowiecki są w rozsypce i dni ich są policzone. Oby tak było! Ale przecież świat jest pełen

obrosniętą w mity, wmanewrowano w rządy. Początkowo nie chciała tego wcale, ale raptem wzięła więcej niż kiedykolwiek myślała. Mity — zaś polegały na tym, że będąc u steru władzy dostanie z Zachodu miliardy dolarów, a sprawami wewnętrznymi pokieruje tak jakoś inaczej... No, **miliardów nie będzie**. A co do rozwiązań wewnętrznych, to są one **dalekie od rozwiązywania czegokolwiek**, a po trosze zaczynają nawet przypominać stare czasy. Najpierw Solidarność domagała się wolnych sobót dla górników, a teraz premier Mazowiecki błaga górników o pracę w soboty...

Moim zdaniem, "stan wojenny" trwa nadal. Pierwszy jego etap, pałowanie Solidarności, już dawno minął. Nie bez sukcesu jednak. Ongiś 10-milionowa Solidarność teraz jest 2-3-milionową i o słabym napływie młodzieży.

Trwa teraz drugi, groźniejszy etap "stanu wojennego". Następuje mianowicie "zaczajowywanie Solidarności na śmierć"... A przy okazji podrzuca się jej przysłowiową świnię. Ot, szef KGB, Władimir Kriuczukow, zjeżdża nagle do Warszawy i spotyka się z premierem Mazowieckim. W rozmowach uczestniczy gen. Kiszczak, ale z Solidarności nikt! O czym to rozmawiano? O pogodzie tylko? Nikt się nawet premiera nie zapytał o to, a nawet gdyby, to i tak można odpowiedzieć co się chce...

Za wcześniej odtrąbiono w Solidarności koniec "stanu wojennego". Niektóre wojny znane z historii trwały nawet więcej niż 100 lat. Osiem lat wojny tak złożonej jak państwa z narodem, państwa niesuwerennego, to tylko krótka chwila... To jeszcze nie jej koniec. Solidarność wojnę tę przegrywa i co najgorsze, nie wie o tym...